

Rozdział II

Między Budapesztem a Łodzią

Szedłem więc z tej niemieckiej niewoli ku swoim. Ale bynajmniej nie – jak w wierszu Broniewskiego – „powoli”, tylko jak najprędzej. I nie „ze zwieszoną głową”, ale raczej z głową pełną pomysłów na temat: co dalej?

Tylko kilka dni świat mi wirował w mózgu, tylko kilka dni miałem uczucie jakiejś zupełnej pustki – popiołu i piasku pod powiekami i w ustach. Chyba słusznie się mówi, że trzy cechy są najbardziej bliskie polskim temperamentom: patriotyzm, optymizm, no i niestety sporo lekkomyślności.

Po pewnym czasie doczłapałem do jakiejś wioski między Sędziszowem a Mielcem. Byłem diabelnie głodny (podstawowym składnikiem mojego menu w czasie tej wędrówki była znajdowana na polach brukiew, obierana pilnikiem do paznokci), gdyż starałem się unikać osiedli; wiedziałem, że Niemcy polują na żołnierzy polskich, a ja w drelichach i bez dokumentów mogłem u nich wywołać najdalej idące podejrzenia. Nie wolno mi się było dać uziemić w jakimś obozie jenieckim, nie chciałem beczynnym przeczekać wojny za drutami.

Mimo wszystko głód i zmęczenie zrobiły swoje. Niech się dzieje, co chce, trzeba zająć do jakiejś chałupy, coś zjeść, trochę odpocząć. Uważnie przyjrzałem się opłotkom. Wypatrzyłem sobie chałupę budzącą zaufanie. Chałupa budząca zaufanie... to określenie może wywołać czyjś uśmiech. A jednak... Późniejsze lata działalności dywersyjnej i walk partyzanckich w całej pełni potwierdziły ten odruch.

Nie tylko twarze ludzkie mają w sobie coś, co budzi zaufanie albo wymaga ostrożności, także i rzeczy martwe mają w sobie „coś takiego”.

Chałupa była uboga, ale gościnna. Przyjęto mnie serdecznie, zaproszono na obiad, który najprawdopodobniej był przyrządzony na arcypolskiej zasadzie „zastaw się, a postaw się”. Na stole pojawiła się nawet wódka, chyba domowej roboty. Harcerz nie pije i nie pali...No, ale każda reguła zna wyjątki, więc dałem się namówić.

Gospodarz milcząc palił fajkę, gospodyni krzątała się usługując przy obiedzie i – jak stary obyczaj każe – nie zajmowała miejsca przy stole, przy którym siedzieli mężczyźni. Za to dwom dorastającym synom przy jedzeniu i wódce rozwiązały się języki. Opowiadali na wypródki, co mówi się we wsi i w pobliskim miasteczku. A to było krzepiące – może jeszcze bardziej niż suty obiad i owa szklaneczka. Mówili, że generał Sikorski tworzy we Francji legiony polskie, jest już nowy rząd i prezydent, pewnie na wiosnę Anglia i Francja ruszą na Niemców, a wtedy my się do nich weźmiemy. Niedługo będą się cieszyli z naszego nieszczęścia... Serce mi rosło, ostatnie mroczne wspomnienia spod Beresteczka ustępowały marzeniom. Już właściwie podjąłem decyzję. Synowie gościnnego chłopca spod Sędziszowa wspominali, że dużo ludzi idzie teraz za węgierską granicę. Przez góry przedrzeć się nie tak trudno, a na Węgrzech są władze polskie, które pomagają przejechać do Francji. Postanowiłem to uczynić.

Po kilkunastu dniach znalazłem się w Łodzi. Przykre wrażenie robiło to miasto. Na ulicach pełno mundurów ze swastyką. Niemcy upojeni zwycięstwem, rozhuśtani nadzieją, że staną się Herrenvolkim, zachowywali się brutalnie i hałaśliwie. Polaków łatwo było rozpoznać w tłumie, jacyś skuleni, skłonni do przemykania chyłkiem.

Po trochę skrzypiących schodach idę na pierwsze piętro dużej standardowej kamienicy, wzniesionej przy ulicy Tylnej przez jakiegoś fabrykanta łódzkiego dla, jak to się mówi teraz, średniego nadzoru technicznego.

Dzwonek głucho zadźwięczał na korytarzu, po chwili usłyszałem kroki, trzask obracanego klucza w zamku. Drzwi uchyliły się nieufnie, łańcucha nie zdjęto.

- Todek, żyjesz, bracie, no, otwieraj prędko!

Todek, podporucznik rezerwy w którymś z artyleryjskich pułków, był przed wojną urzędnikiem w PKO. Całujemy się serdecznie, witam się z rodziną, a potem idziemy do kawalerskiego pokoju na poufną pogawędkę.

- Ja idę na Węgry, do Sikorskiego, do legionów. Będziemy bić się dalej.
- Daj spokój – odpowiada Todek, zaciągając się papierosem – tam nie warto...
- Jak to? Co ty mówisz?

Zapada cisza. Trwa może sekundę, może dwie. Tyle, ile przyjaciel namyśla się, zanim przyjacielowi wyjawia jakąś ważną tajemnicę. Wreszcie Todek wstaje – Bóg jeden wie, po co zaszuwa storę – w pokoju robi się półmrok; pewnie tak łatwiej zwierzać tajemnice.

- Nie, nie warto, Tadziu, jechać na Węgry. We Francji mają dość wojska. A my tutaj już robimy swoje. Wiesz, jest już taka organizacja, Kadry Bojowe Wojska Polskiego. Zebrał się trochę oficerów i podoficerów. Ukryło się parę sztuk broni. Wiesz – uśmiecha się nagle – ja nawet swój hełm i szablę uratowałem i mam schowane w ogródku działkowym. No, to nieważne, mamy coś lepszego niż szable. I forsa jest, jakaś kasa pułkowa z oficerem finansowym, która nawet pół grosza umie policzyć! Widzisz, my tutaj...

Nie wiem, dlaczego, ale byłem tak pochłonięty ideą przedzierania się do Francji, że rewelacje Todka nie zrobiły na mnie żadnego, ale to żadnego wrażenia. Skontaktowałem mnie potem kilka razy z kolegami z owych Kadr Bojowych Wojska Polskiego, oni też przedkładali swoje racje, ale po mnie służyło to wszystko jak woda po gęsi. Nic, tylko Francja i tylko legiony.

Po którymś kontakcie Todek i jego przyjaciele zaczęli tracić nerwy. Powoli przechodziliśmy w dyskusjach od argumentów do epitetów. Kto wie, czym by te rozmowy się skończyły, gdyby nie ów oficer – poznaniak od kasy pułkowej, co umiał pieniądze liczyć z dokładnością do pół grosza.

- Tak nie dogadamy się, panowie, do niczego, najwyżej do mordobicia. Słuchajcie, ja mam myśl. Chce kolega jechać na Węgry, niech jedzie. Podróż wymaga pieniędzy, w czasie wojny jeszcze bardziej niż w czasie pokoju. Kolega zdaje się grosza przy duszy nie ma i do Łodzi przyjechał na gapę: to bardzo nierozważnie. No więc damy mu pieniądze, niech się przedziera na te Węgry.

Towarzysze kasjera pułkowego, którzy jeszcze nie ochłonęli z gorączki coraz namiętniejszej dyskusji, spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

A finansista ciągnął dalej:

- Ale nic darmo! Kolega będzie emisariuszem naszej organizacji. Opracuje teraz szyfr do przekazywania meldunków i rozkazów, załatwi sprawy instrukcji i kontaktów, a jak to robi, niech sobie z Bogiem jedzie do Sikorskiego.

Kompromis podziałał jak wiadro wody wylane na mocno rozgorączkowane głowy. Zostałem na parę dni w Łodzi gościnnie podejmowany przez Todka Kowskiego, omówiłem masę spraw technicznych i opracowałem w dwóch egzemplarzach szyfr, którym Kadry Bojowe Wojska Polskiego miały się teraz porozumiewać z dowództwem zza granicy.

Jeden egzemplarz z szyfrem został w Łodzi, drugi zaszłyłem w marynarce i byłem gotów do podróży na Węgry.

Wraz z moim bratem, dziewiętnastoletnim Jurkiem¹, znaleźliśmy się po kilku dniach wędrówki w Baligrodzie, ponieważ, jak skądś usłyszeliśmy, niedaleko od tego miasteczka, w Cisnej, niejaki pan Antoni Wierziński dorabia sobie przeprowadzaniem ludzi na tamtą stronę granicy.

Już, już majaczyły przed nami kontury domostwa tego zacnego przemytnika, kiedy pojawił się, jakby spod ziemi, patrol żandarmerii z groźnym: „Halt!”

¹ Jurek – Jerzy Wojciech Mazurkiewicz, ur. 20.II.1920 r., harcerz. Był internowany na Węgrzech w obozie w Gödello. Potem przeszedł do rancji, walczył w Wojsku Polskim m.in. pod Dunkierką, po przeszkoleniu w Szkocji, przeniesiony do II Korpusu w Iraku, brał udział w walkach we Włoszech, również pod Monte Cassino.

Po kilku minutach, zamiast pertraktować z panem Wierzbnińskim, tłumaczyliśmy się gęsto, cośmy zacz, po co i skąd, przed tłustym i zdaje się będącym trochę na bańce feldfeblem żandarmerii. Rozmowa była dość „ożywiona”, choć feldfebel nic nie rozumiał po polsku, my zaś przemawialiśmy łamaną niemieczyzną.

Nasze opowiadanie, że chcieliśmy kupić tytoniu, uznał zdaje się za prawdziwe. Zatrzymano nas jednak na razie w prowizorycznym areszcie, gdzie korzystając z tego, że byliśmy sami, zjedliśmy z Jurkiem moje notatki i szyfr, który mieliśmy dostarczyć komuś na Węgrzech.

Następnego dnia o świcie, wraz z paru uzbrojonymi Niemcami, załadowano nas do samochodu ciężarowego. Ruszyliśmy przeświadczeni, że wiozą nas na rozwałkę. Jazda trwała około godziny, wreszcie samochód zatrzymał się, kazano nam wysiadać i wracać do domu. Byliśmy znów w Baligrodzie.

Ruszyliśmy noga za nogą w stronę Zagórza. Nie po to jednak wybraliśmy się w te strony, żeby po tak udanym wyrwaniu się z łap niemieckich wracać do domu. Kogo by tu zapytać o inne przejście na Węgry.

Na podwórzu jakiegoś domku rąbał drzewo ognistorudy mężczyzna. Podeszliśmy bliżej, rysy drwała nie budziły najmniejszej wątpliwości, był to Żyd.

Spojrzałem na brata. Trzeba się było zdecydować.

- Ten chyba nie sypnie. Żydzi mało mają powodów do pomagania Niemcom.

Brat kiwnął aprobowująco głową.

- Panie, można u pana napić się herbaty? – Było piątkowe popołudnie i w całym obejściu znać było przygotowania do szabasowej wieczerzy.

Żyd podniósł dużą, piękną głowę i przyjrzał się nam. Tak, jakby wzrokiem chciał przeniknąć, kim jesteśmy i o co naprawdę nam chodzi. Oględziny wypadły chyba pozytywnie, bo choć słowa były powściągliwe, lecz ton zachęcający.

- Nu, herbaty u mnie nie ma, ale gorącej wody żona wam da, ona tam jest – pokazał wzrokiem dom – idźcie do niej, ja muszę skończyć robotę.

Po kilkunastu minutach przyszedł do mieszkania. Ryzyko się nam opłaciło. Żyd zresztą nie był zaskoczony naszym wyznaniem. Idących na Węgry przewijało się tutaj mnóstwo. Los uśmiechnął się dla przemysłowców. Było ich zawsze tu sporo, ale w ostatnich przedwojennych latach klepali coraz większą biedę, teraz zaczęli zarabiać.

Zapytałem o przemysłowca handlującego tytoniem.

- Idźcie – powiedział Żyd – tą ulicą na prawo, potem przez placik na ukos, czwarty dom, taka czerwona cegła z drewnianym gankiem. Spytajcie o Wincentego Sadlika, powiedzcie, że Abram, ten, co on już wie, was przysłał.

Odległość od domu Abrama do Sadlika nie była większa niż tysiąc metrów, ale i na tym dystansie zdarzyły się przygody, oczywiście z żandarmami, którzy prowadzili nas już na posterunek, aż jakiś Ślązak zlitował się nad nami i pozwolił dotrzeć do Sadlika.

Pan Wincenty obrzucił nas od stóp do głów badawczym wzrokiem; nie powiedzieliśmy więcej niż cztery czy pięć zdań, a on już wiedział wszystko i z zawodową obojętnością, patrząc gdzieś w bok, rzucił ku nam:

- Dojdziecie do leśniczówki w prawo od drogi i prosto przez las, potem będzie znów taki mostek, wtedy skróćcie na prawo, powiecie w leśniczówce, że wy ode mnie, oni już wiedzą, co trzeba z wami zrobić, macie czekać na mnie, przyjdę i przeprowadzę... Aha – dorzucił niby od niechcienia, ale tak, że nie było najmniejszej wątpliwości, iż to najważniejsze – sto złotych, płatne z góry.

Wysuplałem pieniądze dane mi przez owego poznańskiego kasjera pułkowego, Sadlik pożegnał nas chłodno, nie podając ręki.

W leśniczówce nazwisko Sadlika było znane. Nie było leśniczego, ani jego żony, ale dzieci zaopiekowały się nami, usmażyły jajka na boczku, po czym ukryły nas w zagajniku, gdzie mieliśmy oczekiwać przyjścia pana Wincentego.

Siedzimy, marzniemy, czekamy. Brat nie wytrzymał.

- Tadiusz – powiada – może by choć maleńki ogień rozpalić?

Ogień! Zimno przenika do szpiku kości, ale ognisko może zwabić strażników czy żandarmów; przecież to pogranicze, na którym Niemcy urządzają istne łowy na Polaków przedzierających się na Węgry. Psiakrew, zakląłem, trzeba wytrzymać. Po chwili jednak spojrzałem na Jurka. Był cały zielony z zimna i ze zdenerwowania. Widziałem, jak bardzo marznie, i zrobiło mi się go żal. Zwłaszcza gdy przyjął moją rozsądną odmowę bez słowa, bez protestu.

Nic nie mówiąc, zaniósłem do dołka trochę chrustu, przytknąłem zapalniczkę, przez ostatnie parę dni było sucho, chrust zajął się natychmiast, wesołe języki ognia zaczęły pełzać po gałązkach, a w nozdrza uderzyła fala ciepła i dymu.

Kości odtajały, krew raźniej popłynęła, już chciałem sięgnąć po pęto kiełbasy, znajdujące się w plecaku, gdy dojrzałem na twarzy Jurka skrajne przerażenie i usłyszałem:

- Jezus Maria, cośmy narobili!

Spojrzałem w kierunku jego wzroku. Z lasu, o kilkadziesiąt metrów od nas, wyłaniały się idące tyralierą postacie. Sprawa jasna: cheszą las; gdybyśmy tego ognia nie rozpalili, może byłaby jakaś szansa, teraz nie ma żadnej, już się nie wykręcimy żandarmom, nasze zamiary są przecież niedwuznaczne, zamiast na Węgry, powędrujemy na posterunek, a potem do więzienia. Jak pech, to pech!

Tyle razy żandarmeria nas w toku tej podróży zatrzymywała, że teraz już apatycznie oczekiwaliśmy na swój los, byliśmy raczej obiektami wydarzeń, aniżeli ich reżyserami czy aktorami. Gdyby nie ten ogień!

Postacie idące w tyralierze zbliżały się coraz bardziej do nas. Gorączkowo poszukiwałem jakiegoś sposobu tłumaczenia się, ale nic, dosłownie nic, nie przychodziło mi do głowy.

Wtem rozległo się po polsku:

- Hej, wy tam!

Fala gorąca uderzyła do serca, podniosłem oczy, żadnego Niemca, sami cywile. Poderwaliśmy się z Jurkiem na równe nogi.

- My... – zacząłem nie wierząc własnemu szczęściu, że to nie żandarmi i nie straż graniczna.

- Nie ma co gadać – powiedział jeden z nich i uciął moją orację, zaczęta tym jednym słowem. – Idziecie na Węgry, to dobrze się składa, my stamtąd, nasz przewodnik wraca, to was za jednym zamachem odprowadzi.

Reszta sprowadzała się już tylko do marszu. W dzień później znalazłem się w należącym wtedy do Węgier słowackim mieście Užhorodzie. Władze węgierskie ujęły nas, ogromną gromadę Polaków. Prawo międzynarodowe nakazywało takich jak my odstawić do obozu dla internowanych. Prawo – prawem, sumienie – sumieniem. Węgrzy zatrzymali nas, a jakże, postawili straż, a jakże, ale na kilkadziesiąciu energicznych mężczyzn przypadał jeden podstarzały żandarm, i to w dodatku bardziej zerkający w stronę bufetu z przystojną kelnerką i podobno dobrym piwem aniżeli na tych, których miał pilnować.

Uczyłem się chwytów konspiratora: pilnie obserwować twarze. Za chwilę musisz się do kogoś zwrócić, o coś poprosić, wyjawić część tajemnicy, aby ktoś ci w czymś pomógł. Nie znasz nikogo. Jak trafić? Kogo wybrać? Komu zaufać? Tu na nic wszelkie rozumowanie. Wiadomo, że niemieccy szpicle się kręcą, trzeba ryzykować, ale przytomnie, nie na podstawie logicznych przesłanek, lecz w oparciu o intuicję. Jeśli zawiedzie...

I tym razem nie zawiodła. Zwróciłem się do byłego wiceprokuratora², który ponoć też pochodził z Łodzi, udało mi się pozyskać jego zaufanie, przedstawiłem się jako emisariusz podziemnej organizacji w kraju, który nie może tracić czasu na normalny bieg wędrówki po jakichś tam obozach dla internowanych.

² Wiceprokurator – mgr Julian Maciejewski – obecnie adwokat we Wrocławiu.

Właśnie na stacji, gdzie nas trzymano, pojawił się polski konsul w Użhorodzie. Mój wiceprokurator podszedł do niego, przedstawił się, coś tam zaczął szeptać, pokazując mnie wzrokiem. Konsul machnął lekceważąco ręką, po czym odszedł.

Ogarnęło mnie zniechęcenie. No tak, słuchać nawet nie chce. Każdy teraz przedstawia się jako arcyważna osoba, od której zależą losy wojny. Psiakrew – pomyślałem – trochę to i moja wina. Przecież prócz starej przedwojennej legitymacji harcurskiej nie dysponuję żadnymi dokumentami.

Poczułem gorzki smak lekceważenia i osamotnienia. Nawet wiceprokurator nie raczył podejść do mnie, aby zrelacjonować wyniki rozmowy. Zrobiło mi się bardzo przykro na myśl, że potraktowali mnie jak jakiegoś hochsztaplera. To było fatalne uczucie. Zrezygnowany usiadłem na ławce i zacząłem liczyć muchy spacerujące po suficie. Jak na tę porę roku było ich stosunkowo dużo, pewnie brudno i ciepło, a raczej zaduch, panujący na tej prowincjonalnej stacji tak waleń przyczyniły się do rozwoju muszowego pogłowia.

W pewnym momencie poczułem mocny zapach luksusowej wody kolońskiej, a po ułamku sekundy ktoś dotknął nieznacznie mojej ręki. Nie zdążyłem odwrócić głowy w tym kierunku, miałem ją zwróconą ku sufitowi, kiedy usłyszałem ściszony głos:

- Niech pan patrzy na te muchy dalej albo na kelnerkę, niczego sobie dziewczyna, i słucha uważnie, co mówię, nie odwracając się w moją stronę.

Skamieniałem z wrażenia i zamieniłem się w słuch.

- Jak pan się odwróci, zobaczy pan drzwi, są trochę uchylone. Nie zwracając niczyjej uwagi podejdzie pan do nich i wyjdzie nimi na peron. Potem będzie pan szedł cały czas w lewą stronę, aż skończy się budynek stacyjny, zaraz za budynkiem będzie niski, zielony płot, a w płocie furtka. Jak pan otworzy tę furtkę, wyjdzie pan na coś w rodzaju placu, pod dużym kasztanem, stoi czarny samochód, packard. Podejdzie pan, otworzy tylne drzwiczki i nic nie mówiąc wsiądzie. I ma pan tam siedzieć aż do dalszych poleceń, proszę się nie odwracać, odchodzę.

Zapach luksusowej wody kolońskiej zaczął się oddalać, mnie serce mocniej zabiło, przypomniały mi się jakieś na pęczki oglądane w kinie i czytane w książkach historie szpiegowsko-kryminalne. Spojrzałem na brata, zawahałem się na chwilę. On, dziesiętnastoletni chłopak, miał teraz zostać sam. Serce ścisnęło się, ale nie podszedłem do niego, tylko przyjrzałem mu się, chcąc utrwalić w pamięci chłopięcą sylwetkę i świeżo, jeszcze bez zarostu buzię.

Szofer stojącego pod kasztanem czarnego packarda słuchał jakiejś muzyczki operetkowej nadawanej z Budapesztu; ani drgnął, gdy otworzyłem drzwiczki i usiadłem na miękkich poduszkach luksusowego wozu. Melodyjne tony i na mnie podziałały uspakajająco, gdyby nie troska o brata, czułbym się po raz pierwszy od szeregu tygodni wygodnie i bezpiecznie.

W konsulacie wzięto mnie w krzyżowy ogień pytań: Co?, jak?, gdzie?, skąd?, dlaczego? Później jadąc z pracownikiem konsulatu do ambasady w Budapeszcie w przedziale pierwszej klasy (co za luksus po tych tygodniach tułaczki, niepewności i strachu), dowiadywałem się, jakie trudności ma polska służba dyplomatyczna, konsularna i ta... inna z istnym mrowiem szpiclów niemieckich, nasłanych tutaj przez Berlin.

I oto mglisty poranek w Budzie. Razem z moim cicerone znalazłem się przed pięknie kutą bramą ni to domu, ni to pałacyku, w którym mieściła się ambasada trwającej dalej mimo klęski Rzeczypospolitej. Jest spokojnie i cicho.

- Teraz – powiada towarzyszący mi urzędnik – to raj, ale co się tutaj działo we wrześniu i w październiku...

Mimo wczesnej pory ruch w hallu i na korytarzach dość duży. Pierwszy raz byłem w siedzibie placówki dyplomatycznej i poruszałem się wśród luksusowych mebli, obrazów

i rzeźb z wielkim nabożeństwem, trochę tak, jak się zachowuje człowiek w świątyni nieznanego obrządku.

Mój przewodnik porozmawiał z kimś, kto zwrócił moją uwagę nieskazitelnym przedziałkiem na głowie, po czym przeprowadził mnie przez jakiś wyłożony pięknym chodnikiem korytarz, wreszcie stanęliśmy przed drzwiami, na których widniał napis: „Sekretarz ambasady”.

Za biurkiem siedział niewysoki, niezbyt szczupły mężczyzna w wieku trudnym do określenia. Cywilne ubranie leżało na nim nienagannie, ale przecież już pierwszy rzut tak niewprawnego nawet oka jak moje pozwalał stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że mam do czynienia z wojskowym, i to nie byle jakim.

- Major Zagłoba³ - przedstawił się zza biurka.

Mimowolnie na dźwięk tych słów przybrałem coś, co przy dobrej woli mogło być uznane za postawę zasadniczą. – Siadajcie – powiedział krótko – proszę mówić.

Przesłuchiwałem mnie już w konsulacie wiele razy i na różne sposoby, więc sam się zdziwiłem, jak gładko i krótko wypadła tym razem relacja o łódzkiej organizacji Kadr Bojowych Wojska Polskiego. Mjr Zagłoba słuchał nie przerywając ani jednym słowem. Gdy powiedziałem wszystko, spytał:

- Skończyliście?

- Tak jest, panie majorze.

- A więc teraz słuchajcie uważnie. Nic nie będziecie zapisywali. Wszystko musicie pamiętać, żeby mi tylko niczego nie przekreślić, niczego nie dodawać, niczego nie ujmować.

Niemal automatycznie przeszedłem na odbiór, jak to się mówi w radiowym języku. Major mówił zwięźle, krótkimi zdaniami, plastycznie, jego słowa przypominały mi dźwięk pieniędzy wrzucanych do skarbonki. Zapamiętywałem: Mają się organizować na zasadzie systemu piątkowego, szczegółowe instrukcje przyjdą później, na razie należy unikać posunięć zbyt ryzykownych na własną rękę...

Wykład trwał kilka minut.

- Zrozumieliście? – spytał mjr Zagłoba. – Powtórzcie. Dobrze, możecie odejść.

Zrobiłem najprawidłowszy „w tył zwrot” i ruszyłem ku drzwiom gabinetu. Ująłem już ozdobnie rzeźbioną klamkę obitych skórą drzwi, kiedy dobiegł mnie głos majora:

- Poczekać, wróćcie, siadajcie. Witosa znacie?

- O Witosie słyszałem. Podobno znajduje się gdzieś w Rzeszowszczyźnie.

- Trzeba by mu ułatwić przedostanie się tutaj. Mielibyście jakieś możliwości?

Zacząłem opowiadać o trudnościach związanych z przejściem granicy przez takiego starszego i schorowanego pana. A i o tym, że wymagałoby to znacznie większych nakładów pieniężnych.

Uciał moje wywody.

- Możecie już iść. Wróćcie tą samą drogą przez granicę, którą przyszlście. Macie przekazać polecenie, dać hasła i zorganizować przerzut dla innych łączników. No, z Bogiem...

Dopiero na korytarzu przypomniało mi się, że trzeba było wspomnieć o moim zamiarze udania się do Francji, do armii gen. Sikorskiego. Ale twardy gość z tego mjra Zagłoby – pomyślałem sobie – w ogóle moje stanowisko, moje chęci i zamiary nie liczą się. Nawet o zgodę nie zapytał, no, ale to jest wojsko!

Mimo własnych perswazji nie mogłem sam siebie przekonać. Ktoś mi umożliwił rozmowę z polskim attache wojskowym płk. Emisarskim, u którego był w gabinecie ppłk. Miodoński. O, tego cechował zupełnie inny sposób bycia. To nie major Zagłoba, to dyplomata z duszą tylko na poły wojskową. Wysłuchał mnie z przyjazną uwagą, a potem długo wykladał mi wojskowe znaczenie dywersji. Słuszność jego teorii później setki razy

³ Mjr Zagłoba – płk Jan Mazurkiewicz, znany pod pseud. Radosław

miałem okazję wypróbować w praktyce. Często jeden dywersant czy partyzant na tyłach wroga może działać więcej niż pułk wojska na froncie.

Prawie bez żalu pożegnałem się z myślą o służbie w „legionach Sikorskiego”.

- No, cieszę się – powiedział mi na pożegnanie płk Emisarski.- Widzę, że pułkownik Miodoński was przekonał. To bardzo ważne, żeby żołnierz wykonywał rozkaz nie tylko z posłuszeństwa, ale także z przekonania. – I jakby myśląc intensywnie o czymś, co było dalekie od konkretnego przedmiotu rozmowy, powtórzył: - Tak, to bardzo ważne, zwłaszcza w waszych warunkach...

Po wyjściu z ambasady dostałem skierowanie do jakiegoś hoteliku, gdzie miałem trochę odpocząć. („Odpocznie pan, potem rozejrzy się po mieście, a o czwartej proszę czekać na nas, pójdziemy zjeść jakiś obiadek.”)

Odpocząłem, rozejrzałem się po mieście i za kwadrans czwarta usiadłem w miękkim fotelu, aby oczekiwać tych, którzy mnie zaprosili na obiad.

Będę go długo pamiętać. Wszystko zaczęło się jak najlepiej: przystawka, jakieś pieczone, wreszcie „coś mocniejszego”. Zauważyłem, że jeden z moich współbiedniaków spojrzał znacząco na kelnera i powiedział z takim szczególnym akcentem słowo „komposition”.

I to jest ostatnie słowo, które z tej biesiady pamiętam. Obudziłem się nazajutrz rano, nawet bez kaca, w swoim hotelu. Obejrzałem moje skromne ruchomości: wszystko w jak najlepszym porządku. Zachodziłem w głowę, co się stało. Po jakimś czasie zjawił się jeden ze współbiedniaków.

- Nie, nic się nie stało – uspokoił mnie. – Odprowadziliśmy pana do hotelu, zresztą był pan zupełnie correct i dziś też prosimy na obiad.

Żachnąłem się. Ten uprzedził moje obawy czy zastrzeżenia.

- Nie, tamto wczorajsze się nie powtórzy. Mamy dziś innego gościa, też pewnie będzie z nim to samo, co z panem, trzeba będzie holować.

Próbowałem się opierać, ale tamten przeciał:

- Pójdzie pan z nami i już. To nie rozkaz, ale...

Poszedłem. Przystawki, pieczone, „coś mocniejszego”... Kelner, porozumiewawcze spojrzenie, znów to słówko „komposition”. Nowy współbiedniak dostał swoją porcję. I cóż? Stał się rozmowny, odpowiadał chętnie na wszystkie pytania, jakie mu zadawano. Ani trochę nie robił wrażenia zalanego w trupa czy kogoś z przerwą w życiorysie. Tamci rozmawiali z nim bardzo żywo, ale pytali więcej, niż odpowiadali.

Potem trzeba było gościa – tak samo pewnie jak mnie wczoraj – wziąć na ów przysłowiowy hol i dostarczyć w stanie nienaruszonym do hotelu, ale jakoś sobie daliśmy radę.

Tylko na schodach mój towarzysz biesiady – nie ten ululany, tylko ten, który zamawiał obiad i ową „komposition” – spojrzał w jakiś kąt sali (restauracja była piętrowa) i zaklął pod nosem:

- ...Patrzcie i on już się znalazł!

Spojrzałem pytająco.

- Nie, to nie do pana. Ta swołocz ciągle nasuwa mi się na oczy. Znam go z Berlina, z Wiednia, z Pragi Czeskiej. Łazi to za nami jak smród za wojskiem.

A gdy mój wyraz twarzy najwidoczniej domagał się wyjaśnień, dorzucił krótko:

- To taki jeden z niemieckiego kontrwywiadu.

Zamilkliśmy, bo nasz pacjent stał się bardzo śpiący i trzeba było wziąć go pod rękę, inaczej rymnąłby jak długi na białych, szerokich schodach tej dziwnej restauracji, gdzie dawano dziwny trunek o nazwie „komposition”.

Niewiele miałem okazji, aby zastanawiać się nad tą trochę niecodzienną gościnnością. Może rzecz cała istotnie mieściła się w granicach nieco zbyt daleko posuniętej staropolskiej gościnności i życzliwości dla rodaków porzucających bądź co bądź bezpieczną przystań

w neutralnych Węgrzech, aby podjąć pełną niebezpieczeństw działalność w kraju. A może był to zabieg zbliżony do tych, jakie dziś wykonuje się za pomocą wariografu, maszyny do badania prawdy?

Nie ma jednak po co rozmyślać. W każdym razie, jeśli to była próba prawdomówności, nie wypadła, jak widać, najgorzej.

Samochodem i pociągiem, a potem borem, lasem i górą, przez granicę i znów pociągiem jechałem z Budapesztu z powrotem do Łodzi.

Nie pamiętam dobrze, czy był to już koniec listopada, czy początek grudnia 1939 r. Dość że wieczór, w którym wylądowałem, po rozmaitych perypetiach, na Dworcu Kaliskim w pocziwym mieście Łodzi, był obrzydliwy. Padał gęsty śnieg z deszczem, wiał przenikliwy wiatr, byłem znużony i wyczerpany nerwowo tym wszystkim, co spotkało mnie na trasie, wydawało mi się, że każdy kolejarz, każdy policjant, a nawet każdy żołnierz niemiecki domyślają się, skąd i po co przyjeżdżam.

Szybko prześliznąłem się przez ciemną i brudną halę dworca, wszedłem w zaciemnioną i pustawą ulicę. Z daleka usłyszałem podzwaniający tramwaj. Sam nie wiem, dlaczego zrezygnowałem z tego środka lokomocji. Postawiłem wyżej kołnierz i raz po raz wpadając w kałużę rozpocząłem marsz w kierunku ulicy Tylnej, gdzie na pierwszym piętrze, w pokoju o bardzo wysokim suficie, mieszkał Todek Kowski.

Przed drzwiami zapaliłem zapalniczkę. Czy jeszcze tutaj Kowscy mieszkają? Tylu ludzi wysiedlono, ale tabliczka na drzwiach wisiała po staremu, a z mieszkania dochodził brzęk talerzy. Widocznie podawano kolację. Poczuję wilczy głód i nacisnąłem guzik dzwonka.